

ZBIGNIEW BRESSA

**WIBRUJĄCE
MOCE**



WIBRUJĄCE MOCE

ZBIGNIEW BRESSA

WIBRUJĄCE MOCE

Wydawnictwo Red Book
2016

Zbigniew Bressa
Wibrujące moce

Copyright © Zbigniew Bressa 2016
Copyright © Red Book 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Wydanie I

ISBN: 978-83-950224-4-9

Projekt okładki
Anna Bącik

Korekta
Grupa Korektos

Skład i redakcja
Red Book

zbigniewbressa.com

I.

ZABŁĄKANE DUSZE

Rosalie od urodzenia była rozkapryszona, próżna i grymasna. Zamiast skupić się na nauce i pomocy w gospodarstwie, całymi dniami wylegiwała się w łóżku, oddając się niedorzecznym fantazjom.

Zbytняя pobłażliwość rodziców w stosunku do jedynaczki, brak dyscypliny i łagodne traktowanie utwierdzały ją w przekonaniu, że wszystko jej wolno i że wszystko jej ujdzie na sucho. Ot taki rozwydrzony bachor, lekkoduszna dziewczucha, rozkojarzona lafirynda.

Gdy czegoś nie otrzymała lub też nie zaspokoila zachcianki, potrafiła być nieznośna dla otoczenia. Z byle powodu histeryzowała, dąsała się, nie odzywała się do rodziców, odmawiała jedzenia lub zamykała się w pokoju. Czasami w przypiływie wściekłości rozbijała wszystko, co nawinęło jej się pod rękę.

Ojciec i matka – *notabene* bogobojni rolnicy – z niepokojem obserwowali zachowanie córki i prosili Boga, aby nakierował ją na właściwą drogę. Niejednokrotnie wyrzucali sobie, że obchodzą się z nią zbyt łagodnie i starają się jej we wszystkim dogodzić. To prawda, ulegali jej fochom, ale mieli nadzieję, że niedorzeczne zachcianki córki mają charakter przejściowy.

Wraz z upływem czasu, kaprysy Rosalie stawały się coraz bardziej uciążliwe. Czasami całkowicie odrywała się od rzeczywistości i poruszała w świecie fantazji. Jednego dnia pragnęła zostać nauczycielką i zażądała, aby kupiono jej biurko, tablicę, kredę, drewniany cyrkiel i tablice matematyczne; drugiego – le-

karzem, więc kazała sobie kupić biały fartuszek, czepek, apteczkę, stetoskop i aparat do mierzenia ciśnienia. W końcu postanowiła, że wstąpi do zakonu. Ot tak, bez żadnego przygotowania, jakby miało się to stać za pstryknięciem palców lub dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

„Mój Boże” – powiedziałby ktoś – „tylko przyklasnąć takiej idei”. Przyświecał jej szlachetny cel i nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie to, że była to kolejna fanaberia.

Zrozpaczona matka próbowała ją przekupić, ugłaskać, w końcu wyperswadować i uświadomić, że staje się pośmiewiskiem.

Doszło do słownych utarczek, a krewki ojciec złapał za pasek i zdzielił ją przez plecy. Wtedy całkiem jej odbiło. Jeszcze tego samego dnia demonstracyjnie opuściła dom, pragnąc w ten sposób zamanifestować niezależność. Przeklinała rodziców i życzyła im wszystkiego najgorszego. Nosiła się z zamiarem, aby ich zamordować, a następnie, dla zatarcia śladów, podpalić zabudowania. Przrzekła sobie, że chociażby miała przymierać głodem, to jej noga już nigdy w życiu nie przekroczy progu rodzinnego domu.

Wkrótce jej romantyczne i wybujałe fantazje, zderzyły się z brutalną rzeczywistością. Okazało się, że nikt nie czekał na nią z otwartymi rękoma; nikt jej nie przygarnął; nikt nie podsunął talerza pod nos; nikt nie okazał jej przyjaźni ani zrozumienia. Natomiast często spotykała się z nieufnością, niechęcią i wrogością ze strony napotykanych ludzi. Nie pomagał płacz i lament oraz zapewnienia, że została wypędzona z domu i podążyła do klasztoru.

Nadeszły dla niej trudne chwile. Napotykała coraz więcej przeszkód i zagrożeń, których pokonywanie nastęrczało jej wiele

trudności. Był to czas podejmowania samodzielnych decyzji, które miały zaważyć na jej dalszym życiu.

Rzeczywistość czasami bywa brutalna, a człowiek, czy tego chce, czy nie, zostaje poddawany testom i próbom. W tej grze bezbronność i słabość szybko zostają wykorzystywane.

Lekkomyślna panienka miała pecha. Pecha, o którego zresztą sama się prosiła. Jej ścieżka skrzyżowała się z niepotrafiącym określić cielesnych żądz francuskim misjonarzem.

Zakonnik obiecywał, że się nią zaopiekuje, wstawi się za nią, wystawi referencje i zaprowadzi do klasztoru. Uwierzyła. Dlaczego nie miałyby wierzyć tak przekonująco przemawiającemu mnichowi? Nie mogła mu nic zarzucić. Był dla niej miły, opiekuńczy i zapewnił jej nocleg oraz wyżywienie. Tylko tyle, że ciągle się koło niej kręcił, ślinił, ocierał, dotykał i skomlał, że jest straszliwie wyposzczony i że jak nie zespoli się z kobietą, to dostanie pomieszczenia zmysłów. Przyrzekał, że będzie delikatny; zapewniał, że jest doświadczonym kochankiem, że będzie uważał.

Rosalie była siedemnastoletnią panienką i nie miała doświadczenia w obcowaniu z mężczyznami. Zaledwie kilka razy bawiła się „w lekarza” z chłopakami z sąsiedztwa, dochodząc do ciekawego odkrycia. Mianowicie za każdym razem, gdy „badała” męskiego penisa, robił się on coraz sztywniejszy.

W swojej obecnej sytuacji jej nadrzędnym celem stało się przetrwanie. Była bez środków do życia i z tego też powodu postanowiła po raz pierwszy w życiu zaoferować własne ciało. Innymi słowy – ulec. Tak nakazywał jej rozsądek. A więc niech się dzieje wola nieba.

Potem wyrzucała sobie słabość i naiwność. Oddała się za tanio. Za kubek kawy, ciepłą strawę i kąt do spania. Zrobiła to na dodatek z dobrego serca, z miłosierdzia... Przecież kleryk był cierpiący, wychudzony i wymizerowany, i tak gorąco prosił...

Jej szczęście nie trwało długo. Jak się okazało, ten hultaj ją zbałamucił i wykorzystał, a gdy się okazało, że zaszła w ciążę... ulotnił się. Przeklęty samiec i nieodpowiedzialny męski szowinista.

W momencie, w którym w łonie zawiązała się zygota, jej świat runął i rozsypał w kupę gruzu. Na usta cisnęły się pytania: po co jej to było? Co teraz pocznie? Gdzie zamieszka i kogo poprosi o pomoc? Znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wpadła w sidła, wkroczyła w ślepą uliczkę. Nie była jeszcze pełnoletnia, a już musiała stawić czoła poważnemu wyzwaniu.

Robiła, co mogła, aby pozbyć się tego, jak to określiła – niechcianego bachora. Dźwigała pełne wiadra wody, skakała ze stołu na podłogę i waliła pięściami w brzuch. Nic! Kompletnie nic! Tak, jakby nad tym przeklętym dzieckiem czuwała opatrność.

Wałęsała się z wioski do wioski i spała, gdzie popadło. W lesie, w stogu siana czy w opuszczonej szopie. Czasami litowali się nad nią farmerzy i pozwalali jej przenocować w oborze.

Pewnej nocy we śnie odwiedziła ją ubrana w długi niebieski płaszcz poprzeplatany złotymi nitkami Matka Boska. Stała przed nią jak żywa, szeroko rozpostarła ramiona i poprosiła ją o miłosierdzie. Prerażona Rosalie zerwała się z nędznego barłogu, padła na kolana i przyrzekła, że zrobi wszystko wedle jej nakazu. Urodzi dziecko i pozostanie z nim do pełnoletniości. Jest jeszcze młoda, ma zaledwie siedemnaście lat. Łatwo policzyć – siedemnaście plus osiemnaście równa się trzydzieści pięć. A więc

w wieku trzydziestu pięciu lat ponownie powróci na ścieżkę, z której tak niefortunnie zoczyła.

Nędzna bydlęca obora. W pomieszczeniu panował półmrok i dominował zapach krowiego łajna. Ściany stajni pokrywała wilgoć, a z półkolistego sufitu zwisały brudne pajęczyny.

Rosalie siedziała na drewnianym krzeselku, używanym do dojenia krów i gorliwie zmagiała, jedną po drugiej, koronkę różańca. Od jakiegoś czasu ogarnęła ją mania świętości. Nie potrafiła się jednak całkowicie skupić na modlitwie, gdyż jej umysł zajęty był zupełnie innymi sprawami. Rzeczywistość była okrutna – była włóczęgą i na dodatek samotną matką. Najbardziej jednak ubolewała nad faktem, że nie miała żadnego wpływu na swoje życie. Z bezradną wściekłością zagryzała wargi, zdając sobie sprawę, że jest nikim. Ludzkim odpadkiem – zerem. A ona tak bardzo pragnęła mieć autorytet, szacunek i poważanie. W końcu być... KIMŚ.

Ułudne marzenia, dla których poświęciłyby wiele i obdarłaby się z własnej godności.

Już wielokrotnie wyrzucała sobie, że jest słaba i głupia. Wierzy w jakieś sny! Matka Boska?! Też mi coś! Po co urodziła dziecko? Komu jest ono potrzebne? W przypiływie wściekłości tłukła go pięściami po głowie, dusiła i zamierzała utopić w szambie.

Jej uczucia były kompletnie sprzeczne z uczuciami matki w stosunku do swojej pociechy. Z jej duszy nieustannie sączył się trujący jad. Zamiast matczynej dumy i radości z posiadania potomka, odczuwała do niego nienawiść. Przyglądała się mściwym

wzrokiem na leżące przy jej boku maleństwo. Maleństwo, które przysporzyło jej tak wiele smutku i zgryzoty. Tego słodko drzeмиącego oseska utożsamiała teraz z karą bożą i potępieniem. Z przeszkodą oddalającą jej plany w daleką przyszłość.

Dzisiaj miała jeszcze inny dylemat. Rozmyślała i wypisywała na małej karteczce imiona. Każde z nich przesyczone było niechęcią i nienawiścią. Postanowiła napiętnować swoją latorośl wyjątkowo paskudnym imieniem tak, aby ta była świadoma, że jest niechcianą i niepożądaną na tym świecie istotą.

Lato było słoneczne i gorące. Urodzajna ziemia wydała obfity plon. W powietrzu rozchodził się zapach siana i dojrzałego zboża. Rosalie najęła się do pracy u bogatego gospodarza.

Vicente był jej przyjazny. Miał zresztą w tym swój cel. Rosalie pociągała go fizycznie. Była młodą, atrakcyjną dziewczyną, na widok, której dostawał dreszczy. Nie miał pojęcia, co go w niej urzekło. Może delikatne ciało, może sterczące sutki, a może był to kolejny jego kaprys.

Vicente był kobieciarzem, który nie przepuścił żadnej białogłowie. Z zdrad rozgrzeszał się łatwo, twierdząc, że zaniedbany mąż potrzebuje, od czasu do czasu, urozmaicenia i skoku w bok. Był pewien, że Rosalie będzie dla niego łatwym łupem i szybko uzależni ją od siebie. W jego mniemaniu była to biedna, zagubiona dziewczyna, która zrobi wszystko za dach nad głową, jedzenie i opierunek. Wystarczy tylko się koło niej odpowiednio zakręcić i umiejętnie ją podejść. Jeżeli będzie mu spolegliwa, to on w zamian obsypie ją podarunkami i pomoże wychować córkę. Jeżeli nie – wyrzuci ją z domu.

Vicente oceniał kobiety po rozmiarze biustu i pulchnych poślawkach. Tak się złożyło, że w tym samym czasie żona Vicente – Francesca, powiła bliźniaki. Po porodzie zachorowała na zapalenie piersi. Vicente wyczuł szansę zbliżenia się do powabnej dziewczyny i poprosił ją, aby, za sowitą opłatą, dokarmiła własnym mlekiem jego dzieci. Wy tłumaczył jej, że w przypadku wyrażenia zgody jego żona będzie przyjaźnie do niej nastawiona i nie odprawi jej z domu. Będzie miała przez kilka lat dach nad głową i utrzymanie.

Początkowo Rosalie była sceptycznie nastawiona do tej propozycji. Wkrótce jednak w głowie zakiełkowała jej myśl, że oto niespodziewanie pojawia się przed nią szansa zarobienia dodatkowych funduszy. Własnych pieniędzy, których posiadanie podniosłoby jej morale. Może nawet poczułaby się KIMS.

W takiej sytuacji nie wystarczy pokarmu dla jej córki. To jednak drobiazg. Nieistotny szczegół. Przecież nie zadowoli wszystkich. W jej pokrętnym mniemaniu, znalazła się w komfortowej sytuacji. Niedożywiona córka umrze, a jej nikt nie zarzuci nie dbalstwa. Nawet Matka Boska. Za jednym zamachem rozwiąże problem i zrzuci z ramion jarzmo uzależnienia.

Bez wyrzutów sumienia wyciągała napelnione pokarmem piersi i wtykała je w usta wygłodniałych malców. Z uwielbieniem obserwowała przyssanych do jej sutków bobasów, mając nadzieję, że wypiją wszystko, co do jednej kropelki. Vicente w tym czasie sycił oczy jej biustem, podniecał się i wyobrażał sobie, że to on ssie brunatnego sutka.

Pewnego dnia – pod nieobecność żony – poprosił Rosalie, aby pozwoliła mu pociągnąć łyk zyciodajnego płynu. Kobieta bez

zenady wetknęła mu w usta oślinioną pierś, z której skapywały krople ciepłego, słodkiego mleka.

– Pociągnij sobie łyeczka gospodarzu. Nie bój się, gdyż dla wszystkich wystarczy – mówiła do niego z tajemniczym uśmiechem na ustach.

Vicente odczytał jej zachowanie, jako ukrytą aluzję. Od tej chwili popadł w obsesję; nie mógł spać po nocach i z niecierpliwością wyczekiwał okazji pozostania sam na sam z przyprawiającą go o zawrót głowy kobietą.

Rosalie nigdy nie okazywała córce oznak przywiązania, miłości, współczucia czy tliwości. Takie uczucia pozostawały dla niej nieznanne. W momencie dokarmiania cudzych dzieci, miała nadzieję, że córka umrze. Fakt ten wybawiłby ją z kłopotów. Dziecko kojarzyło jej się z zawalidrogą, zbędnym balastem, kulą u nogi.

Ze względu na to, że bliźniaki wysysały z niej życiodajny pokarm, karmiła ją kozim mlekiem i wodą. Kilkakrotnie ponowiła próbę unicestwienia, ale wszystkie zabiegi nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.

Była niezwykle pomysłowa w pastwieniu się nad bezbronnym dzieckiem. Głodziła je, dusiła, topiła, uderzała główką o podłogę oraz wystawiała po kąpeli na przeciąg. Ku jej zdziwieniu córka rosła i rozwijała się dobrze. Nie zauważyła u niej oznak opóźnienia w rozwoju ani skutków niedożywienia.

Obecnie większym zmartwieniem stawał się dla niej Vicente. Prosił i groził. Nachalnie narzucał się, podszczypywał, nachodził i bez przerwy skomlał jak pies o odrobinę wyrozumiałości. Już

wcześniej to przerabiała i, jak wiadomo, źle na tym wyszła. Od chwili zajścia w ciążę, mężczyźni kojarzyli jej się z kłopotami. Pomna przykrych doświadczeń z przeszłości, postanowiła być ostrożna. Rozmyślała i kalkulowała. Co jej się bardziej opłaca? Uległość czy opór?

Zwyciężyła głupota, próżność i chciwość. Będąc przekonaną o swojej atrakcyjności, doszła do wniosku, że jeżeli dobrze rozegra tę partię, to ugra dużo dla siebie. Musiała jednak się zabezpieczyć przed niepożądaną ciążą.

Używając wdzięku, wytłumaczyła niecierpliwemu mężczyźnie, że jeszcze w pełni nie doszła do zdrowia po porodzie, a na dodatek wywiązała się u niej infekcja. Gospodarz zobowiązał się, że zawiezie ją do lekarza i pokryje koszty leczenia.

Wykorzystując naiwność i hojność gospodarzy, Rosalie udała się do lekarza i w zaciszu gabinetu poddała się zabiegowi sterylizacji.

Rosalie nadała córce imię Heurfana. W języku hiszpańskim słowo to oznacza „bękart”, „sierota”, „znajda” lub inaczej mówiąc „niechciane dziecko”.

Heurfana nie została ochrzczona, gdyż Rosalie uznała, że jest owocem grzechu. W jej metryce widniała data urodzenia, imię – Heurfana, nazwisko – Capurro, zaś w rubryce ojciec – nieznany.

Heurfana posiadała niezwykle dar, gdyż jak nikt inny potrafiła usunąć się w cień i stać się niewidoczną dla otoczenia. Zdążyła się zorientować, że jej problemy rozpoczynały się, gdy nieopacznie wchodziła matce w drogę. Była bita, czym popadło. Kij, pasek, kabel. Wołała pasek od kabla – mniej bolało. Niezliczoną

ilość razy oberwała otwartą dłonią w twarz; kilkakrotnie została skopana. Jej ciało pokryte było siniakami i niezagojonymi ranami. Takie detale jak wyzwiszka, krzyki czy ciągłe narzekanie, nie robiły już na niej wrażenia. O dziwo – nigdy nie czuła do nienawiści. Nigdy też nie pragnęła zemsty. Posłuszna, cicha i w pełni zdająca sobie sprawę, że musi przeczekać. Miała nadzieję, że kiedyś nadejdą dla niej lepsze czasy.

Była pojętna i w krótkim czasie nauczyła się pisać, czytać i liczyć. Podstawowym źródłem wiedzy stały się dla niej biblia, katechizm i modlitewna książeczka. Znała na pamięć większość modlitw, litanii, pieśni i psalmów. Wprawiała wszystkich w osłupienie znajomością geografii, przyrody i języków obcych.

Mimo łagodnego usposobienia, Rosalie traktowała ją gorzej niż bezdomnego psa. Biła, szturchała, szarpała za włosy, straszyla diabłem, piekłem, że odda ją do sierocińca. Zdumiał ją spokój, w jaki córka przyjmowała upokorzenia. Popychała ją i okładała, czym popadło, a ona nigdy nie zapłakała, nie odpyskowała i patrzyła na nią z miłością. Taka postawa doprowadzała ją do jeszcze większej furii. Pewnego dnia zdzieliła córkę pięścią w twarz, a kiedy upadła, kopnęła ją w podbrzusze. Heurfana, jak gdyby nic, podniosła się z posadzki, otarła dłonią cieknącą z rozciętej wargi krew i powiedziała do niej:

– Przepraszam mamusiu, jeżeli ci w czymś zawiniłam.

Niesłychane! To niechciane od urodzenia dziecko, ten przeklęty bękart, zamiast płakać czy złorzeczyć, powiedziało do niej: „mamusiu przepraszam”.

Rosalie po raz pierwszy przeraziła się. Mało powiedziane – doznała wstrząsu i przypomniała sobie słowa o miłosierdziu, miłości i odpowiedzialności. Kiedy spojrzała na córkę, spostrzegła,

że ma ona jasnoniebieskie oczy, jakie widziała we śnie u Matki Boskiej.

Od tego dnia nie miała odwagi spojrzeć jej prosto w oczy. Zaczęła nawet podejrzewać, że córka jest wysłanniczką niebios i poddaje ją próbie. Jeżeli tak, to musi radykalnie zmienić postępowanie, gdyż wyląduje w piekle i będzie na wieki przeklęta.

Sprawy potoczyły się tak, jak było do przewidzenia – Vicente ukradkiem spotykał się z Rosalie. Niekiedy dopadał ją w stodole, czasami w stajni, innym znowu razem na stryszku z sianem.

Taki układ pasował obojgu. Rosalie przyjmowała od pryncypała pieniądze, a on miał pod ręką nałożnicę. Oboje byli wyrachowani i nie angażowali w ten układ emocji. On zaspokajał nieokielznane żądze, a ona – podreperowała konto.

Taki układ trwał pięć długich lat. Widać Francesca miała dużo cierpliwości. Jednakże wszystko kiedyś się kończy. Pewnego wiosennego poranka Rosalie została poproszona na rozmowę. Vicente w tym czasie był nieobecny. Kobieta domyślała się, o czym będzie ta rozmowa i że jej pobyt w tym miejscu dobiega końca. Francesca niczego nie owijała w bawełnę i przeszła do sedna sprawy.

– Jeżeli myślisz, że jestem ślepa i głucha, to się mylisz? Doskonale wiem, co się dzieje w moim domu. Długo znosiłam upokorzenie, ale tylko z tego względu, że własną piersią wykarmiłam moje dzieci. Myślałam, że jesteś rozsądna, mąż szybko się tobą nasyci, ale się pomyliłam. Milczałam, cierpiałam i przymykałam oczy, ale nie mogę pozwolić sobie na obniżanie autorytetu. Zaraz

wypłacę ci zaległą pensję, spakujesz się i opuścisz ten dom – powiedziała do niej władczy i nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Rosalie zalała fala wściekłości i ogarnęła furia. Zamiast wyrazić skruchę, prosić o przebaczenie lub usprawiedliwić się, wypaliła:

– Sama jesteś sobie winna. Twój mąż przychodził do mnie, gdyż przyprawiasz go o mdłości, rozlazła ropucho. Powiedział, że czuje do ciebie wstręt i obrzydzenie. Weź lusterko i spójrz na swoją wstrętną gębę, a dowiesz się, o czym mówię. Zazdrościsz mi urody, figury i zrobisz wszystko, aby zniszczyć ten romans.

Francesca była spokojna i opanowana. Uśmiechnęła się pod nosem, pokręciła głową i łagodnym głosem zwróciła się do rozhisteryzowanej Rosalie:

– Jesteś wiejską dziwką. Przybłądą. Nikim, rozumiesz? Na domiar wszystkiego jesteś głupsza, niż myślałam. Doskonale wiem, naiwna suko, że mój mąż to nieokiełznany buhaj, któremu tylko jedno w głowie. Zaliczył już setki takich jak ty. Wierz mi – przymykam oczy na jego zdrady. Wyznam ci w tajemnicy, że robię to z premedytacją, ponieważ mam... chwilę wytchnienia. Prowadzenie domu i wychowywanie dzieci pochłania sporo sił i nie mam ochoty na figle w sypialni. Dlatego toleruję jego wypadki do burdelu, flirty i przygodne romanse. Jeżeli się łudzisz, że ten hultaj zostawi dla ciebie rodzinę, to jesteś w dużym błędzie! Wiedz, że cały majątek należy do mnie, a on jest tutaj tylko parobkiem. Kończmy zatem tę jałową dyskusję. Zabieraj się, bo czas nieubłaganie płynie do przodu! Za chwilę służba wyrzuci cię stąd na zbity pysk – zakończyła podniesionym głosem.

Rosalie opuszczała farmę z poczuciem klęski. Życzyła Francesce wszystkiego najgorszego i żałowała, że jej nie otruła. Znowu

przyczyną jej kłopotów stał się mężczyzna. Mężczyzna, którego Rosalie nieźle „wydoiła”. Albowiem w jej posiadaniu znalazła się spora sumka pieniędzy, które otrzymała od kochanka.

Matka i córka przemieszczały się z wioski do wioski. Stosunki między nimi stawały się coraz bardziej oziębłe. Z upływem czasu wyrósł pomiędzy nimi mur obojętności.

Rosalie nie posiadała żadnych atutów, poza własnym ciałem. Jej pokaźne, sterczące piersi stały się pełniejsze po urodzeniu dziecka. Szybko stała się obiektem westchnień i pożądania. Gdzie się pojawiła, przy jej boku ustawiał się wianuszek mężczyzn. Podrywali ją, prawili komplementy i uwodzili. Wybierała najbogatszych, przyjmując od nich pieniądze za dostęp do swojego ciała.

Życie Heurfany zmieniało się w koszmar. Najgorsze były chwile, gdy matkę odwiedzali spragnieni pieśczoć mężczyźni. Musiała wtedy godzinami wyczekiwać pod drzwiami. Nieraz chowała się w szafie lub pod łóżkiem. Z kryjówki, z wstrzymanym oddechem wsłuchiwała się w szepty, odgłosy westchnień i skrzypienie łóżka. Na jej twarzyczce malował się wyraz bezsilności; czasami zagryzała do krwi wargi w dziecinnej bezradności.

Czas nieubłaganie płynął do przodu. Heurfana podrosła i wydorosła. Pewnego dnia obie kobiety przybyły do położonego przy granicy z Peru miasta Loja. Rosalie wynajęła nędzny, zawilgocony pokój i zatrudniła się w stołówce, a siedemnastoletnia córka w kolonialnym sklepie.

Rosalie nigdy nie wspomniała Heurfanie, że zamierza ją porzucić. Pragnęła bowiem, aby ta boleśnie odczuła tę chwilę. Chodziło jej przede wszystkim o to, aby córka, z chwilą porzucenia, poczuła się jak bezpański pies. Taki, którego można przegonić z miejsca na miejsce i bezkarnie skopać. Liczyła na to, że ta słaba i nieposiadająca bratniej duszy dziewczyna zagubi się w dorosłym życiu.

Od dziecka – z premedytacją – izolowała ją od otoczenia, uzależniała od siebie i nie pozwalała na podejmowanie samodzielnych decyzji. Kontrolowała swoją latorośl do tego stopnia, że ta nie miała żadnej przyjaciółki, zwierzątka czy też maskotki, z którymi mogłaby się emocjonalnie związać. „Zrób to, zrób tamto”, „nie spotykaj się z tym czy z tamtym”, „wracaj po pracy do domu” – brzmiały nakazy. Wszystko miało cel – córka nie będzie przygotowana do samodzielnej egzystencji i funkcjonowania w społeczeństwie. Musi być jak ślepe, uzależnione od innych zwierzę. Zderzy się z twardą rzeczywistością i brutalnością okrutnego świata. Ufała, że pozostawiona na łasce losu, nie poradzi sobie z przeszkodami i poniesie porażkę. Przepadnie, uwalniając ją tym samym definitywnie od balastu.

Co ją to obchodzi? Czym ona się martwi? Wkrótce opuści to miejsce i uda się w siną dal. Wystarczająco czasu poświęciła na taką głupotę, jak wychowywanie dziecka. Zmarnowała osiemnaście lat swojego młodego życia.

– Droga Heurfano – zwróciła się do córki. – Nadeszła wiekopomna chwila. W dniu dzisiejszym kończysz osiemnaście lat. Wybacz mi, że cię o tym wcześniej nie poinformowałam. Wstąp

po pracy do Urzędu Miejskiego, gdzie w biurze ewidencji czeka na odbiór dokument tożsamości. Potem niezwłocznie wracaj do domu, gdyż z okazji urodzin przygotowałam ci niespodziankę.

Rosalie unikała kontaktu wzrokowego, ale Heurfanie wydawało się, że wyraz twarzy rodzicielki wyrażał spokój. Zastanowiła ją jedna rzecz – matka nigdy nie wypowiedziała tylu miłych słów pod jej adresem. Czyżby coś się zmieniło? Może matka zrozumiała, że córce należy się odrobina życzliwości? Może w końcu roztają między nimi lody obojętności i zawiążą się emocjonalne więzi? Może, może, może...? Wszystkie te „może” były rozpatrywane przez nią w sferze spekulacji.

Wyszła do pracy radosna jak nigdy. Urosły jej skrzydła. Frunęła. W jej duszy grała wesoła muzyka. Już dawno nie czuła się taka szczęśliwa. Nuciała pod nosem wesołą melodię i radośnie przeskakiwała z nogi na nogę. Miała nadzieję, że po powrocie do domu będzie czekało na nią przyjęcie. Może nawet prezent i tort urodzinowy? A może mamusia zaprosi kilku sąsiadów? Może, może, może...

Jednego była pewna – od dzisiaj będzie lepiej.

Głupia i naiwna, nie miała pojęcia, w jak dużym była błędzie.

Praca dosłownie paliła jej się w rękach. Inni pracownicy patrzyli zdziwieni, widząc ją taką radosną. Poruszała się po sklepie jak żywe srebro. Operowała miotłą z taką wprawą, jakby tańczyła walca; ścierała kurze umieszczoną na długim kiju szmatką tak, jakby dyrygowała orkiestrą w wiedeńskiej filharmonii; donosiła brakujące towary z taką gracją, jakby była baletnicą w *Jeziorze labędzim*.

Po pracy udała się do usytuowanego w sercu miasta budynku. Z szybkością antylopy wkroczyła do biura, w którym wręczono

jej dokument tożsamości. Spieszyła się mając nadzieję, że w domu czeka na nią niespodzianka.

Rzeczywiście – czekała na nią niespodzianka. Tylko nie taka, o jakiej myślała. Po raz pierwszy doznała szoku, kiedy zamierzała przekroczyć próg kamienicy, w której wynajmowały pokoi. Ku jej zaskoczeniu czekał na nią komitet powitalny – gospodarz z dwoma synami. Zamierzała wkroczyć do środka, gdy została brutalnie zatrzymana w progu.

– Gdzie?! Wynocha stąd, przybłądo! Już tutaj nie mieszkasz! – poinformował ją właściciel. – Mieszkanie zostało wynajęte i od dzisiaj ma nowych lokatorów. Twoja matka poprosiła mnie, abym ci przekazał, że wyjeżdża w nieznanym kierunku i chociażbyś nie wiem jak się starała, to i jej nie odnajdziesz. Zabieraj więc stąd rzeczy i won! – wskazał na wystawione przed budynek kartonowe pudełko i niewielki tobołek.

Była to krótka, zwięzła i niebudząca wątpliwości informacja. Heurfana poczuła się tak, jakby została uderzona obuchem w głowę. Zamroczyło ją i zatoczyła się, omal nie upadając. Przeżyła wstrząs, który niemal nie zwałił jej z nóg. Zburzona została symetria i utarty porządek. Jej nedorzecznie optymistyczne oczekiwania zderzyły się z brutalną rzeczywistością. Chciałoby się powiedzieć: „halo malutka, obudź się! Witamy w dorosłym życiu. Teraz jesteś zdana wyłącznie na siebie”.

Bez środków do życia, bez dachu nad głową. Stała przed zaniedbaną kamienicą z bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała ramionami. Jej twarz wyrażała rozpacz. Patrzyła przed siebie, nie mając pojęcia, w którą udać się stronę.

Thungi wywodził się z wojowniczego plemienia Jivaro. Jego rodzina od niepamiętnych czasów zamieszkiwała podgórskie tereny na wschodnich skłonach Andów. Granica ich terytorium rozciągała się pomiędzy Czerwonym Głazem, Poszarpaną Skałą i opierała się na lewym brzegu rzeki Pastazy. Było to ponad pięćdziesiąt hektarów, wliczając w to las. Powierzchnia robiła wrażenie. Jednak nie było to wiele, biorąc pod uwagę fakt, że w okresie rozkwitu szczep liczył trzystu członków.

Plemię zajmowało się myślistwem, rybołówstwem i uprawą roli. Szczep stanowił hermetycznie zamkniętą kulturowo-językową grupę, porozumiewającą się między sobą narzeczem *huambisa*. Był to ród dziki, okrutny i niezwykle waleczny. Każdy z członków plemienia dla wyróżnienia nosił na lewej ręce wytatuowaną jasnoniebieską strzałę, która symbolizowała, że wojownicy szczepu sprawnie posługują się łukiem, kuszą i zatrutymi strzałami.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że wojownicy Jivaro, urządzali polowania na ludzi. Ich najcenniejszym trofeum była odcięta od korpusu głowa ofiary, którą następnie fachowo pomniejszali do wielkości pomarańczy. Tak spreparowana – oddzielona od kości – zmumifikowana główka nosiła nazwę *tsantsa* i według wierzeń zatrzymywała w sobie kosmiczną energię i zabezpieczała przed zemstą ducha zabitego.

Kiedy w XVI wieku w Ekwadorze pojawili się pierwsi hiszpańscy konkwistadorzy, dla Indian nastały ciężkie czasy. Niedługo za najeźdźcami pojawili się obszarnicy, którzy bez pardonowo wypierali tubylców z żyznych terenów.

Plemię Jivaro zostało zepchnięte na skrawek nieurodzajnej ziemi u podnóża gór. Okrutni wojownicy nigdy nie pogodzili się z dominacją przybyłych i rozpoczęli działania, mające na celu odzyskanie własności.

Kiedy urodził się Thungi, plemię Jivaro liczyło dwudziestu czterech członków. Ojciec był wodzem i od najmłodszych lat zabierał synów na polowania, uczył sztuki wojennej i zapoznawał z terenem. Pokazał im Czerwony Głaz, Poszarpaną Skalę i wytyczoną przez przodków granicę.

W malcu wzbierała nienawiść do najeźdźców. Zapragnął dokonać zemsty za wyrządzone krzywdy. Jego dziecięcą zapalczywość powstrzymał ojciec, tłumacząc, że osadnicy posiadają broń palną oraz wsparcie organizacji rządowych, w tym policji i wojska. Wystąpienie przeciwko nim równałoby się zagładzie plemienia. Potrzebne były cierpliwość i rozwaga.

Thungi zakradał się w poblize pastwisk i złorzeczył pilnującym stad bydła pasterzom. Gdy miał dziesięć lat, jeden z wojowników śmiertelnie zranił zatrutą strzałą syna właściciela rancza. Żądny zemsty ojciec wysłał w kierunku obozowiska uzbrojonych najemników. Członkowie plemienia rozproszyli się i uciekli w góry, kryjąc się w lasach, jaskiniach i rozpadlinach skalnych.

Rozpoczęła się walka z cieniami. Wojownicy, jak nikt inny znali teren i atakowali przeciwnika przez zaskoczenie. Do walki przyłączyły się także inne plemiona, wspierające pobratymców. Wspomagani przez wojsko i policję farmerzy przetrzebili tubylcze plemiona, a pozostali przy życiu wojownicy zaszyli się w lasach lub uciekli do Peru.

Plemię Jivaro zostało otoczone w wąwozie i wycięte w pień. Przed okrutną rzezią, ojciec przywołał do siebie Thungiego i na-

kazał mu ukryć się z bratem w pniu spróchniałego drzewa, uważając, że przysły władca plemienia nie może zginąć w bezmyślny sposób. Thungi przez wydrążoną w drzewie dziurę z rozpaczą obserwował zagładę. Większość wojowników walczyła do ostatniej strzały i zginęła bohaterską śmiercią. Ojciec, jako wódz plemienia, został ukrzyżowany.

Ze pogromu uratowały się tylko cztery osoby: Thungi, jego młodszy brat – Tsajaput, i matka z niemowlęciem. Dziecko wkrótce umarło, a kobieta przyłączyła się do innego plemienia.

Z licznego przed laty szczepu przy życiu pozostało dwóch malców, którzy postanowili kultywować rodowe tradycje i odzyskać utraconą ziemię.

Przez lata chłopcy ukrywali się w tropikalnych lasach, ucząc się samodzielności i umiejętności radzenia sobie w trudnych warunkach. Cierpieli głód, chłód i kaprysy pogody. Rośli, męźnieli i nabierali doświadczenia.

Ubierali się w niewyprawione zwierzęce skóry i posługiwali się własnoręcznie wykonanymi narzędziami. Do perfekcji opanowali sztukę ukrywania, kamuflażu, zacierania śladów i unikania ludzi. Obu chłopców cechowała pracowitość, cierpliwość i dyscyplina. Aby przeżyć, polowali i zakładali wnyki; zbierali też zioła, nasiona i orzechy, gromadząc zapasy w wymyślnych kryjówkach. W międzyczasie doskonalili się w wojennym rzemiośle oraz przygotowywali oręż: piki, dzidy, maczugi, dmuchawki, łuki i nasączone trucizną strzały i lotki.

Istnym hitem okazała się uzyskana przez nich w wyniku destylacji mieszanina różnorodnych alkaloidów. Nazwali ją żartobli-

wie „śmiertelnym zawrotem głowy”. Zabójcza mikstura składała się z kurary, pozyskanej z jadu żmii – neurotoksyny, wyciągu z kulczyby – strychniny, a z muchomorów – muskaryny. Z połączonych składników, uzyskali lepkaż, którą aplikowali na ostrza strzał, bełtów i lotek. Trująca substancja w zetknięciu z żywą tkanką powodowała halucynacje i śmierć.

Młodzieńcy wzorowali się na zapamiętanych tradycjach przodków. Ubierali się w skóry, chodzili bez obuwia, a na szyjach zawieszali wykonane z pazurów i kłów dzikich zwierząt naszyjniki.

Żuli korzenie manioku i przygotowywali z niego odżywczy napój. Nie gardzili też halucynogennymi grzybkami, uprawiając się w trans przed każdym polowaniem. Poznawali rośliny i wykorzystywali ich lecznicze właściwości. Modlili się do boga Arutam i bogini Nungui, prosząc o siłę, moc, opiekę i o to, aby Matka Ziemia ich wykarmiła.

Poruszali się jak duchy w tropikalnym buszu i unikali niebezpieczeństw. Byli ostrożni i czujni. Mieli tak wyostrzone zmysły, że potrafili wyczuć obcy zapach, wyłapać najcichszy szelest lub dostrzec w ciemnościach najmniejszy szczegół. Posiadali wrodzony instynkt przetrwania i potrzebę... zabijania.

Spali w szałasach, na drzewach, w wydrążonych dziuplach lub w pieczarach, i grotach. Niekiedy pod gołym niebem. Polowali, gromadzili zapasy i przygotowywali się do wojennej wyprawy.

Nie zaniedbywali niczego. Wyrabiali garnki, narzędzia, lekarstwa, przechowywali żywność i wytwarzali ubrania. W ustronnych miejscach założyli ogródki, w których hodowali warzywa.

Ich nieokiełznana, mściwa natura była formowana przez wieki. W ich żyłach płynęła buntownicza krew. Pragnęli zabijać, aby

zemścić się za wyrządzone krzywdy. Na razie poligonem doświadczalnym były zwierzęta i ptaki. To za nich ćwiczili się i wypróbowywali preparaty. Z czasem uznali, że nadszedł czas na poważniejsze wyzwania.

Zbliżała się chwila, aby zapolować na... człowieka.

Do pierwszego ataku przygotowywali się niezwykle starannie. Podkradali się pod domostwa, całymi dniami obserwowali wędrujących po górskich szlakach turystów, śledzili pracujących na tym terenie misjonarzy i siostry zakonne. Cierpliwie czekali na dogodny moment.

Po zrobieniu rozpoznania, wybrali cele i natarli jak grom z jasnego nieba. Pierwszymi ofiarami była para argentyńskich studentów. Uderzenie było tak szybkie i niespodziewane, że młodzi ludzie nie mieli szans na obronę. Bracia nawet zdziwili się, że poszło im tak łatwo. Nie tracąc czasu, zatarli starannie ślady, zrzucili ciała w przepaść i szybko oddalili się z miejsca przestępstwa.

Biegli bez wytchnienia, przedzierając się przez lasy i unikając ludzkich osad. Zanim zapadła noc, znaleźli się w pobliżu samotnej chatki. Mieszkała w niej trzyosobowa rodzina.

Poruszali się w ciemnościach jak duchy. Podeszli cichaczem pod ogrodzenie i unicestwili psy. Rozpoczęło się polowanie. Mieli dwa wyjścia: albo wywabić z chałupki domowników, albo czekać do rana.

Rozpoczęły się wojenna gra. Udział w niej wzięło dwóch uzbrojonych w śmiertcionośne strzały wojowników i troje Bogu

ducha winnych ludzi. Finał był łatwy do przewidzenia. Pierwszy zginął wywabiony z domu gospodarz, a następnie jego żona i syn.

Zabijanie ludzi uważali za coś normalnego. Wyciągnęli z ciał ofiar śmiercionośne lotki, przywiązali do nóg kamienie, odsunęli właz kloaki i wraz z martwymi psami wrzucili zwłoki do wypełnionego gnojowicą szamba.

Wokół panował spokój. Cicha, pogodna noc. Dochodziła północ. Na niebie świecił księżyc, w oddali pohukiwał puchacz. Bracia cichaczem opuścili farmę i rozpląnęli się w mroku. Następny cel był oddalony o ponad sto kilometrów.

Ojciec Mateo przemierzał dzień w dzień górską drogę prowadzącą do wioski Abato. Znajdował się w niej kamienny kościółek, w którym odprawiał mszę. Serce misjonarza przepojone było miłością do Pana, któremu wiernie służył i poświęcał wszystkie siły. Benedyktyn niedawno skończył pięćdziesiąt lat, nosił długą siwą brodę, a jego opalona twarz była poorana głębokimi bruzdami.

Mateo zerknął na zegarek i mocniej nacisnął na pedały starej damki. Zazgrzytał dawno nieoliwiony łańcuch, a koła żwawiej obróciły się w piastach. „Został mi niecały kilometr. Teraz już będzie lżej” – przemknęło mu przez głowę, kiedy znalazł się na szczycie pagórka. Nagle poczuł ukłucie, jakby mu zaaplikowano zastrzyk lub użądliła go pszczoła. Pierwsza lotka utkwiała mu w szyi, druga w policzku. Trucizna błyskawicznie dostała się do krwioobiegu. Misjonarz zamarł w bezruchu, zwałił się drogę, wzbijając obłoczek kurzu. Jego umysł funkcjonował, ale ciało zdrętwiało. Był w pełni świadomy tego, co się wokół niego dzieje, ale nie mógł zrobić najmniejszego ruchu. Ujrzał zbliżających się do niego nastolatków – jeszcze dzieci. Ich twarze pomalowa-

ne były czerwoną, żółtą i czarną farbą. Obaj ubrani byli w skąpe skórzane ubrania. W dłoniach trzymali bambusowe dmuchawki, na plecach przewieszono mieli łuki, a do pasów przytrzczone – siekierki.

Mateo łudził się, że to sen. Pomyślał, że jest przepracowany i zrobiło mu się słabo. Poczuł się błogo – jakby był odurzony. Wydawało mu się, że unosi się w powietrzu. Zatracił poczucie czasu – jakby ten w ogóle nie płynął. Rozmywał mu się obraz – jakby znalazł się w gęstej mgle. Zaszło mu w gardle – jakby ktoś nasypał mu do jamy ustnej rozżarzonego piasku. Jego ciałem wstrząsnęły drgawki – jakby był podłączony do przewodów wysokiego napięcia. Patrzył zamglonym wzrokiem na rozmazane kontury pochylających się nad nim postaci i nie mógł zrozumieć, dlaczego te wyciągają w jego kierunku dłonie z rozczapierzonymi, zakończonymi długimi pazurami, palcami. Chciał odgonić od siebie rozplływające się w powietrzu mary, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Próbował coś powiedzieć, ale skołowaciał mu język. Wstrząsnęło nim, a głowa opadła mu do tyłu. Z twarzy odpłynęła krew.

Nie cierpiał. Serce ustało; dusza opuściła ciało.

Uleciała tam, gdzie było jej miejsce – do nieba.

Byli jeszcze dziećmi, ale zastosowana taktyka była majstersztykiem. W ciągu pięciu dni przemierzyli trzysta pięćdziesiąt kilometrów, zabili sześć osób, zatarli za sobą ślady i zaszyli się w dżungli. Nikt ich nie widział, nikt nie miał pojęcia o ich istnieniu, nikt ich nie kojarzył ze zniknięciem ludzi.

Każdy z trzech przypadków zaginięcia owiany był nimbem tajemniczości i w żaden sposób nie łączono ich ze sobą. Nie odnaleziono ani jednego ciała. Zwłoki pary studentów zostały roz-

szarpane przez leśnych drapieżników, ciała rodziny farmerów gniły w szambie, a ciało zakonnika rozkładało się w głębokiej mogile.

Wojownicy ukryli się na wąskim skrawku suchego łądu usytuowanego w sercu mokradeł. Łowili ryby, polowali, wędzili mięso, zbierali jadalne korzenie, nasiona, orzechy i przechowywali je w spiżarniach.

Po kilku miesiącach odosobnienia, znowu odezwała się w nich dzika nieokiełznana natura. Postanowili ponownie dokonać totalnego zniszczenia. Tym razem zamierzali zastosować odmienną taktykę, a przy okazji ściąć kilka głów i spreparować je do formy *tsantsy*.

Coś przerażającego wykluwało się w ludzkich umysłach. Coś potwornie groźnego zawisło nad ludzkimi głowami, ale nikt nie miał pojęcia, co to mogło być. W powietrzu unosił się zapach śmierci, ale nikt go jeszcze nie wyczuwał. A potem niespodziewanie – jak grom z jasnego nieba – nastąpił zmasowany atak, straszliwe uderzenie porównywalne do szarży okrutnego drapieżnika. Nie wiadomo skąd i kiedy pojawili się siejący grozę i zniszczenie napastnicy. Szybcy, skuteczni i bezwzględni. W ciągu kilku dni na sporym obszarze zasiali strach i przerażenie.

Zaskoczeni ludzie pochowali się w domach, nie mając pojęcia, co się dzieje, i z której strony czyha na nich śmierć. Upiorne, żadne krwi stwory działały szybko i sprawnie. Przypuszczali szturm na niczego niespodziewającą się ofiary i błyskawicznie znikali. Pojawiali się w nocy jak zwiastuny grozy, duchy lub spragnione krwi zmory i po dokonaniu zbrodni się ulatniali. Ata-

kowali turystów, farmerów, misjonarzy, zakonnice, rolników, a nawet powracające ze szkoły dzieci. Tym razem nie dbali o pozory, pozostawiając na miejscu kaźni ociekające krwią, zbezczeszczone zwłoki. W kilku miejscach kaźni znaleziono bezgłowe korpusy, co jeszcze bardziej dodawało grozy do i tak już koszarnej sytuacji.

Dwóch wojowników w ciągu kilku dni unicestwiło trzydziestu ludzi i ukryło się w jaskini, mając zamiar przeczekać wywołane przez siebie zamieszanie.

Więści o mordach, zbezczeszczonych zwłokach i obciętych głowach lotem błyskawicy rozniosły się po świecie. Ze względu na to, że nikt nie widział sprawców, nazywano ich „znikającymi cieniami”, nocnymi marami, widmami, upiorami, wysysającymi krew wampirami czy też potępionymi duszami”.

Z ataków uratowały się tylko nieliczne osoby, ale i one nie mogły wiele wnieść do sprawy, gdyż doznały one trwałego uszczerbku na zdrowiu. Z zeznań wynikało, jakoby zmasowanego ataku dokonały zielone ludki – najprawdopodobniej Marsjanie w zмовie z umazanymi sadzą diabłami, trzymającymi w dłoniach trójzębne harpuny.

W rejonach, w których dokonano morderstw, zapanowała panika i wszechobecny strach. Wzmocniono strażę i zwiększono czujność. Zamknięto szkoły i przykościelne placówki. Ludzie chowali się w domach, zamykając za sobą drzwi i okiennice na solidne zasuwę. Przekazywano sobie z ust do ust nieprawdopodobne historie o jeźdźcach Apokalipsy, Aniołach Śmierci, Antychrystach, bandach satanistów, zbiegłych z więzienia psychopatach, wynaturzonych rzezimieszkach, a nawet dwugłowych potworach.

Władze państwowe wyznaczyły sobie jako punkt honoru rozwikłanie tej sprawy. Akcja policji i wojska prowadzona była na szeroką skalę. W dochodzenie zaangażowano najlepszy sprzęt, doświadczonych wywiadowców, psy tropiące, a nawet jasnowidzów. Pod lupę wzięto okoliczne sekty oraz wynaturzonych recydywistów. Wyznaczono także wysoką nagrodę za głowę sprawców.

Nic! Wyglądało to tak, jakby szukano wiatru w polu, jakby uganiano się za mrzonką. Pomimo usilnych starań, efekty były mniej niż znikome. W miejscach przestępstw natrafiono na ślady bosych stóp, wygniecioną trawę, połamane gałązki i kilka zatrutych strzał i lotek. Ze względu na to, że ofiary zostały unieczyszczone trucizną, zawierającą w składzie kurarę, podejrzenie padło na okoliczne plemiona.

W tropikalne lasy, amazońską puszczy i wysokie góry udali się wywiadowcy. Przez rok trwała obława na zabójców-widma. Na potrzebę śledztwa przetrząsnięto tysiące szałasów i drewnianych chat, zarekwirowano setki łuków, dmuchawek, strzał, lotek, mazieli i tajemniczych substancji. W wyniku zakrojonej na szeroką skalę operacji złapano jedynie kilku złodziei bydła, dwóch fałszywych misjonarzy oraz wykryto wytwórnię narkotyków i nielegalną drukarnię pieniędzy.

Jednak wysiłek nie poszedł na marne. Opierając się na faktach i zebranych materiałach, śledczy doszli do wniosku, że napastników było dwóch, a ich rysopisy pasowały do widzianych od czasu do czasu wojowników plemienia Jivaro. Jednak nikt nie miał pojęcia, gdzie obecnie przebywają. Tak jakby rozplynęli się w powietrzu lub zapadli pod ziemię. Ślad ten potraktowano jak jeden z wielu.

Życie powoli wracało do normy, czas koił rany. W ludzkiej pamięci zacierały się makabryczne wspomnienia, a ich miejsce zajęła radość. O młodych wojownikach zapomniano, traktując opowieści o nich, jako mit.

Naiwni ludzie nie mieli pojęcia, w jak dużym byli błędzie. Najgorsze miało dopiero nadejść.

Dwa lata. Nie do wiary – przez dwa długie lata ukrywali się w jaskini, w której wcześniej przygotowali zapasy. Nie przeszkadzało im, że porowate skały groty pokryte były wilgocią, a ze sklepienia skapywały na głowę krople wody. Grota była doskonałą kryjówką. Posiadała dostęp do słodkiej wody, wentylację, a nawet wyjście ewakuacyjne.

Thungi odkrył tę jaskinię przypadkowo. Pewnego dnia nurkując w porosłej wodnymi liliami sadzawce, natknął się na wąski otwór w skałach, przez który wpłynął do ciemnego pomieszczenia. Uplłynęło sporo czasu, zanim bracia poznali każdy zakamarek. Myszkujący po grocie Tsajaput natknął się na dwie skrzynie ze złotymi i srebrnymi monetami oraz szlachetne kamienie.

Przebywając w osamotnieniu, nie marnowali czasu. Oddali się makabrycznemu zajęciu. Zamierzali spreparować ludzkie głowy do formy *tsantsa*. Nie mieli jednak pojęcia, jak się do tego zabrać. Opierali się wyłącznie na przekazywanych z ust do ust opowieściach i intuicji.

Pierwsze próby wypadły niepomyślnie, więc ciągle poszukiwali nowych rozwiązań. Uparcie próbowali, aż w końcu im się udało.

Technika preparowania *tsantsy* wyglądała mniej więcej tak: najpierw wkładali do garnka odciętą od tułowia głowę i gotowali ją z korzeniami. Kiedy głowa była już wystarczająco miękka, oddzielali ciało od kości. Następnie zaszywali powstałe otwory – usta, nozdrza i oczy – włóknami *caraguata*. Do powstałej w ten sposób torebki – przez otwór w szyi – wsypywali drobne kamyczki i energicznie nią potrząsali. Przesypujący się w środku żwir czyścił wnętrze z resztek mięsa i tłuszczu. Następnie oczyszczoną głowę wypełniali piaskiem i wkładali do garnka, w którym znajdowała się zawierająca duży procent taniny kora. Rozpoczął się proces pomniejszania głowy do wielkości pomarańczy. Nie traciła ona swoich proporcji, a rysy zachowywały podobieństwo do twarzy ofiary. Na końcu tego żmudnego procesu pomniejszona głowa została wypełniona włóknami roślin i liśćmi, które posiadały właściwości konserwujące.

Według ich wierzeń *tsantsa* zatrzymywała energię i posiadała magiczną moc.

Zanosilo się na deszcz. Lało bez przerwy od dwóch tygodni. W wyniku obfitych opadów wystąpiły z brzegów rzeki, a przepełnione, rwące górskie potoki zalewały położone w dolnych partiach gór miejscowości. Powstało realne zagrożenie osunięcia się zboczy i wystąpienia błotnych lawin. Dżdżysta pogoda zatrzymywała w domach większość rozsądnych obywateli, ograniczając ich pobyt na zewnątrz do niezbędnego minimum.

Bracia długo wyczekiwali takiej chwili. To, co dla innych wydawało się uciążliwe, dla nich stanowiło szansę. Nadeszła pora na

polowanie. Mieli upatrzony cel. Postanowili działać z rozwagą. Nie zaniedbywali najmniejszego szczegółu.

Poruszali się bezszelestnie w bujnej tropikalnej roślinności i bez trudu przedzierali się przesmykami pomiędzy bagnami. Mieli cel, mieli zadanie do wykonania. Kierowali się w stronę położonej w ekwadorskiej dżungli wioski Kipawi, w której znajdował się ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy. Tam w wyposażonych w klimatyzację i luksusowy sprzęt, pokrytych słomianą strzechą domkach przebywali zasobni w gotówkę urlopowicze.

Jeszcze nikt nie zdawał sobie sprawy, że unoszący się z krateru świętego wulkanu Sangay pióropusz siwego dymu jest dla wielu wyrokiem śmierci. W wierzeniach okrutnych wojowników był to sygnał do działania. Sangay dymił, co oznaczało, że żądał ofiary. Zatem ktoś musiał umrzeć, aby wypełniła się jego wola.

Była pełnia sezonu; poprawiała się pogoda i niemal wszystkie domki były zapełnione. Ekskluzywny ośrodek był doskonale strzeżony, ale dzisiaj panowało w nim rozprężenie. Beztraska atmosfera udzielała się wszystkim bez wyjątku. Na ustach ludzi gościł uśmiech, a alkohol lał się strumieniami. Bogaci turyści przyjechali tutaj nie po to, aby zachowywać się jak mnisi, ale po to, aby się odprężyć, wyluzować i zapomnieć o troskach codziennego życia. Pragnęli wyszumieć się, popuścić cugle i pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa.

Organizatorzy turnusu wychodzili ze skóry, aby im dogodzić, przygotowując liczne atrakcje. Kilka dni temu na przykład odbyli tratwami spływ po pełnej niespodzianek rzece. Następnie przedzierali się z maczetami w dłoniach przez tropikalne lasy, aż dotarli do wioski prymitywnych Indian Kiczua. Dzisiaj natomiast mieli okazję podziwiać tańczących na scenie wojowników z ple-

mienia Loreto. Z każdej strony estrady paliły się ogniska. Co chwilę ktoś podsyczał ogień, dorzucając do tłącego się żaru kawałki drewna. Ogarnięte płomieniami szczapy radośnie strzelały i wzniewały kłęby iskier. Unoszący się w powietrze dym odganiał uciążliwe komary i moskity.

Przed każdą wyprawą bracia wprawiali się w trans za pomocą halucynogennego napoju. Zazwyczaj pili go małymi łyżkami, czując, jak w ich ciała wstępują magiczna energia, odwaga i siła.

Podkradli się pod scenę, obserwując rozweselonych gości – potencjalne ofiary. Położyli się na ziemi i upodobnili do otaczającej ich przyrody. Nadchodził czas ataku. Emocje wzrastały. Krew szybciej krążyła w żyłach. „Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz” – podpowiadał im głos rozsądku. W pewnym momencie porozumieli się i przeczolągali do pobliskiego parku. Sprzyjały im okoliczności – zapadał zmrok. Nawet księżyc schował się za chmurami.

Kierownictwo ośrodka, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom klientów, w kilku ustronnych zakątkach parku ulokowało altanki i ławeczki z oparciami. Takich miejsc szukali ludzie pragnący intymności, samotności czy dyskrecji. Zaciszne, ustronne miejsca, w których można było się schować przed oczami wścibskich. W takich zakątkach można było porozmawiać, przytulić się i pocałować bez świadków.

Wkrótce miejsca te staną się dla wielu śmiertelnymi pułapkami.

Nadszedł czas zemsty i rozliczenia za doznane krzywdy. Nastąpił atak, którego nikt się nie spodziewał. Śmierć wyłoniła się z mroku – cicho i bezszelestnie. Żądni krwi, wojownicy wyko-

rzystali sprzyjające warunki i w krótkim czasie unicestwili piętnastu ludzi.

Upłynęło sporo czasu, zanim ktokolwiek zorientował się w tym, co się wydarzyło. W ogólnym zamieszaniu nie zwracano sobie głowy takimi szczegółami, jak nieobecność tej czy tamtej osoby. Dopiero w niedzielny poranek natknięto się na zwłoki, a po nich na następne, następne i następne...

Szok! Ludzi ogarnęła panika.

Na terenie kurortu pojawiła się ekipa śledcza i detektywi. Żadna z zaatakowanych osób nie przeżyła. Przeważała narodowość amerykańska i niemiecka. W ciałach ofiar tkwiły ręcznie wykonane strzały. Wszystkie osoby zmarły w wyniku działania silnej trucizny zawierającej w swoim składzie kurarę, jad grzechotnika oraz wyciąg z muchomora.

Wśród ofiar było pięć kobiet, siedmiu mężczyzn, nastolatka i dwoje dzieci. Ciała dzieci pozbawione zostały głów, których nigdzie nie odnaleziono.

Wiadomość o makabrycznej zbrodni odbiła się szerokim echem w kraju i zagranicą. Do Ekwadoru popłynęły kondolencje i słowa szczerego współczucia. Jednocześnie nasilały się żądania jak najszybszego wykrycia sprawców. Kierownictwo ośrodka zostało oskarżone o poważne zaniedbania i brak nadzoru. Osoby spokrewnione z ofiarami domagały się wysokich odszkodowań.

Na twarzach ludzi znowu pojawiły się strach i niedowierzenie. Wielu z nich trwożnie oglądało się za siebie, a po ich plecach przebiegały ciarki.

Rozpoczęło się śledztwo. Odczytano nagrania z monitoringu. Okazało się, że napastników było dwóch, ale twarze były niemożliwe do zidentyfikowania ze względu na panujące ciemności. Uzbrojenie stanowiły łuki, kusze, dmuchawki oraz noże. Wojownicy mieli na szyi zawieszane naszyjniki, a na plecach – skórzane sakwy. Jednak największy szok wywołało odkrycie, że każdemu z nich dyndała u pasa zmumifikowana główka człowieka. U jednego była to głowa kobiety, u drugiego – mężczyzny.

Do wyjaśnienia sprawy przydzielono najlepszych funkcjonariuszy, wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt. W śledztwie zastosowano skanery, czujniki ciepła i kamery termowizyjne. Krok po kroku odtworzono przebieg wydarzeń i podążono śladem zbrodniarzy.

Po kilku tygodniach śledztwa uzyskano pewność, że makabrycznej zbrodni dokonało dwóch wojowników plemienia Jivaro, które niegdyś rezydowało u podnóża Andów. Przetrząsnęto każdy skrawek ziemi i przeszukano wszystkie zakamarki. Jedyne, co znaleziono, to wygasłe ognisko i ziemiankę, w której zgromadzono zapasy suszonych owoców, nasion i orzechów. Nie było zresztą pewności, że w miejscach tych przebywali poszukiwani. Sprawcy, tak jak poprzednio, zapadli się pod ziemię. Tresowane psy złapały ślad, ale straciły go w pobliżu strumyka.

Na władze państwowe spadały słowa potępienia i ostrej krytyki. Ludzie narzekali, że ich podatki wyrzucane są w błoto. Kto to widział, żeby dwóch tubylców z dmuchawkami w dłoniach zaszachowało cały kraj? Kto to widział, aby organa ścigania dysponujące ogromnym aparatem śledczym były bezradne w zderzeniu z prymitywną cywilizacją?

Po kraju zaczęły krążyć niesamowite historie, a wojownikom szczepu Jivaro przypisywano niemal każde popełnione przestępstwo.

Po kilku miesiącach bezowocnego dochodzenia, śledczy musieli ponownie przyznać się do porażki.

Tymczasem bracia, po dokonaniu krwawej jatki, kluczyli i kręcili się wokół ośrodka, a potem wartkim strumykiem spłynęli w dół zbocza. Następnie skierowali się w wysokie góry i udali w pobliże miasta Ambato. Ukryli się tam w upatrzonej wcześniej jaskini, która posiadała niezliczoną ilość korytarzy. Wychodzili ze swojej kryjówki rzadko, tylko pod osłoną nocy. Po dwóch latach pustelniczego życia uznali, że pora wracać w rodzinne strony.

Tropikalną dżunglę spowiły gęste mgliste opary, a nad mokradłami unosiły się obłoki skondensowanej mlecznej bieli. Panująca cisza przerywana była jedynie od czasu do czasu szelestem przemykającego zwierzęcia lub śpiewem ptaków. Czasami coś zabulgotało w bagnach, coś zaszeleściło w sitowiu i oczeretach. Czasami nad błotnistym rozlewiskiem niósł się krótki, przeraźliwy krzyk konającego zwierzęcia.

Lekki wietrzyk poruszy trawami i zamilkł. Nad moczarami unosiły się chmury bzydczących komarów wysysających krew z każdego napotkanego ciała.

Pod rozłożystymi konarami drzew przemykało się dwóch młodzińców. Obaj nie nosili obuwia i byli skąpo ubrani. Posuwali się wolno, grzęznąc po kolana w błocie. Czasami przykucali pod paprociami, uważnie nasłuchując i lustrując otoczenie.

Środowisko, w którym się znajdowali, nie stanowiło dla nich żadnej tajemnicy. Poruszali się w nim swobodnie i zręcznie przeskakiwali z kępy na kępę trawy.

Nagle jeden z nich przykucnął i machnął do drugiego ręką, pokazując mu coś w oddali, a następnie położył się w błocie. Drugi z młodzieńców także przywarł do ziemi, upodabniając się do poszycia. Obaj działali instynktownie – bez żadnego słowa. Jeden z nich pokazał coś drugiemu na palcach i obydwaj wycofali się w stronę suchego skrawka ziemi.

W niewielkiej odległości od nich wojownicy plemienia Uchucha polowali na małpy. Było ich dwunastu. Myśliwi nie zdawali sobie sprawy, że weszli na terytorium Indian Jivaro, narażając się tym samym na śmiertelne niebezpieczeństwo. Rozpoczęła się potyczka, w której jedna ze stron polowała na małpy, aby zdobyć pożywienie, a druga na intruzów, którzy wkroczyli na ich teren.

W gęstym sitowiu i splątanych pnączach czaiła się śmierć. Czujne oczy obserwowały przechodzących myśliwych, czyhając na ich najmniejszy błąd. Myśliwi rozproszyli się w tyralierę, kroczyli powolnym krokiem i obserwowali okoliczne drzewa. Byli wytrawnymi łowcami, obytymi z tropikalnym gąszczem. Nie po raz pierwszy polowali w grupie. Każdy z nich miał w zasięgu wzroku dwóch towarzyszy.

Najpierw z pola widzenia zniknęli ci po bokach. Pozostali zbagatelizowali ich nieobecność. Zawahali się. Tym samym popełnili błąd, który kosztował ich życie.

W ciągu niespełna kwadransa ci, którzy przybyli tutaj na polowanie, sami stali się zwierzyną łowną. Mało powiedziane – martwą zwierzyną.

Bracia przystąpili do zacierania śladów. Ciała obciążyli głazami, po czym zepchnęli je do wody. Następował plusk, później jakby bulgot. Na powierzchni sadzawki ukazały się pęcherzyki powietrza. Potem następował spokój i tafla stawała się na powrót gładka.

Ostatecznego zniszczenia dokonają żarłoczne ryby, krokodyły i pijawki.

Na powrót nastała cisza. Wokół bzyczały owady, kumkały żaby i świergotały ptaki – były to charakterystyczne odgłosy lasu zlewające się w jedną całość.

Następnym celem stała się farma, która nachodziła na granicę ich terytorium.

Zbliżało się święto plonów, inaczej mówiąc – dożynki. Wokół zagrody Cristobala Vizuite trwał ożywiony ruch. Cristobal był gospodarzem dbającym zarówno o pracowników, jak i swoją rodzinę. Jego włości rozciągały się na powierzchni trzystu hektarów. Specjalizował się w hodowli bydła, owiec i kóz. Ten rok był dla niego wyjątkowo pomyślny.

Prognoza na nadchodzący weekend zapowiadała się obiecująco. Przygotowania weszły w decydującą fazę. W farmie Cristobala szykowało się feta nad fetami, a szczodry gospodarz nie żałował pieniędzy na zakup wykwintnych produktów i alkoholu. Zaproszono wielu znakomitych gości, wliczając w to miejscowych notabli i biskupa. Miejsce, w którym miała odbyć się uroczystość, przystrojono zielonymi gałązkami, wiankami, kwiatami i uplecionymi z kłosów zbóż wieńcami. W cieniu rozłożystych drzew rozstawiono stoły pokryte kolorowymi obrusami. Po obu ich stronach ustawiono ławy i krzesła. Na rożnach piekła się jagnię-

cina, befsztyki i kiełbaski, a z kotłów unosił się aromatyczny zapach duszonego mięsiwa i ostro przyprawionego gulaszu.

Przybyli pierwsi goście, atmosfera stawała się swobodna. Ścisłano sobie dłonie, wymieniano grzecznościowe zwroty, życzoneo wszystkiego najlepszego i zasiadano do suto zastawionych stołów. Nakładano na talerze pieczone ziemniaki, ryż i sałatkę, nabiłano na widelce jagnięce szaszłyki, soczyste kawałki mięsa, szynkę, befsztyki i grillowane porcje kurczaka. Całość polewano gęstym sosem lub tłuszczem ze smażoną cebulą. Aby poprawić trawienie, raczono się obficie winem. Pękate butelki krążyły pomiędzy gośćmi. Wznoszono toasty i pod niebiosa wychwalano gospodarza.

Zabawa rozkręcała się na dobre. Nie minęła jeszcze godzina uczty, a już wielu biesiadnikom świeciły się oczy i sporo z nich kołysało się na boki.

Wokół zagrody porzrzucali kawałki mięsa z domieszką halucynogennych substancji. Po spożyciu takiej porcji nawet najgroźniejszy pies stawał się ospały, otępiały i tracił czujność.

Wojownicy podeszli bliżej zabudowań. Zabawa się rozkręcała. Grała muzyka, tańczono i raczono się alkoholem.

Z zapadnięciem zmroku przystąpili do realizacji planu. Zaczęli się w zagajniku i obserwowali rozweselonych biesiadników. Następnie bezszelestnie podkradali się w pobliże wybranej ofiary i uderzali.

Krążyli, jak mary wokół rozbawionego tłumu, dokonując zniszczenia. W pewnym momencie popełnili niewybaczalny błąd. Byli oszołomieni, działali w amoku. Narkotyczny napój wypity w nadmiarze spowodował, że poczuli się zbyt pewnie i zaatakowali siedzących przy stole biesiadników.

Śmierć przychodziła nie wiadomo skąd. Nagle w powietrzu coś świsnęło, a niektórzy z gości poczuli ukłucia. Z szyi jednej z ofiar wystawała czarna lotka.

Okrzyki przerażenia zlały się z dźwiękiem rozbijanego szkła. Wielu z uczujących momentalnie otrzeźwiało. W ludzkich umysłach ożyły wspomnienia i zapaliły się alarmowe lampki. Zakotłowało się, powstał tumult. Zapanowała trudna do opisana panika. Śmiertelnie przerażeni biesiadnicy nawzajem się tratowali, nie wiedząc, w którą uciekać stronę. Ktoś się potknął, ktoś upadł, komuś nadepnięto na głowę, gdzieś zapłakało dziecko. Nikt się tym nie przejmował. Każdy myślał tylko o sobie. Rozhisteryzowany tłum zdominowały prymitywne instynkty. Byle tylko uciec, byle tylko uratować życie.

Jedynym człowiekiem, który zachował zimną krew w ogólnie panującym chaosie, był Matias – osoba zatrudniona do ochrony włości. Dawny komandos zwołał wokół siebie kilku mężczyzn i przystąpił do ofensywy. Dobrze powiedziane – ofensywy. Ale jak walczyć z niewidzialnym przeciwnikiem? Wrogiem, który czaił się w ciemnościach.

Znowu świsnęło, nadleciały lotki i dwóch mężczyzn osunęło się na ziemię. Taka sytuacja deprimująco wpłynęła na pozostałych. Wszyscy odruchowo przywarli do ziemi i nie mieli odwagi podnieść do góry głowy.

Matias zachował spokój, traktując to wydarzenie jako wyzwanie. Zwolnił ze smyczy psa, założył na oczy noktowizyjne okulary i wystrzelił z dubeltówki w krzaki. Następnie położył się na ziemi i obserwował otoczenie. W przeszłości z nienajgorszym skutkiem tropił narkotykowe gangi i odniósł sporo sukcesów. Był pewny, że szybko zidentyfikuje i poradzi sobie z wrogiem.

W momencie, w którym padły pierwsze strzały, Thungi instynktownie przywarł do ziemi. Miał słabość, której nie potrafił przezwyciężyć: wystrzały z broni palnej przerażały go do nieprzytomności. Kiedy tylko usłyszał kanonadę i poczuł zapach prochu, ogarnął go paniczny strach. Skinął ręką w stronę brata i zarządził odwrót.

Matias, widząc zarysy postaci, przeładował broń i podążył za nimi. W jego umyśle pojawiła się myśl, że może zainkasować niezłą sumkę. Wyznaczono bowiem aż sto tysięcy dolarów nagrody za ujęcie tych groźnych rzezimieszków. Podekscytowany tą myślą przywołał do siebie psa i przyspieszył kroku.

Bracia kierowali się w stronę lasu. Bieгли równym tempem, poruszając się zygzakiem. Thungi wysunął się do przodu.

Kiedy wydawało się, że wyprawa zakończy się powodzeniem, nastąpił dramat. Pozostający z tyłu Tsajaput zahaczył stopą o rozciągnięty drut i runął na ziemię. Zanim się podniósł, skoczył na niego pies. Młodzieniec zasłonił się rękami i wbił zwierzęciu śmiertelną strzałę. Pies zacisnął zęby na jego szyi i zakleszczył je w śmiertelnym uścisku. Tsajaput próbował zrzucić z siebie psa, ale nie mógł rozchylić zaciśniętej szczęki. Do leżącego na ziemi wojownika podbiegł Matias, przystawił mu do kolana rewolwer i pociągnął za spust. Rozległ się wystrzał i okrzyk bólu. Do wijącego się z bólu Tsajaputa zbliżyła się grupa pościgowa.

– Bierzcie żywcem tego dzikusa. Jest wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Skrępujcie go i zaprowadźcie na farmę. Ja tymczasem złapię drugiego tubylca – zaordynował Matias.

Jeden z mężczyzn złapał Tsajaputa za ręce, a drugi podważył lufą pistoletu zaciśniętą szczękę psa. Pomalowany na twarzy Indianin obficie broczył krwią i charczał. Szczególną uwagę zwraca-

cały jego złowrogo błyszczące oczy. W poranionych ustach trzymał coś w rodzaju fletu lub fajki bez cybucha. Zanim do nich dotarło, co to jest, z otworu drewnianej rurki wyskoczyła lotka i trafiła w oko trzymającego go za rękę mężczyznę. Ten momentalnie osunął się na ziemię. Tsajaput sięgnął do kołczana, ale już nie zdążył niczego z niego wyciągnąć, gdyż w jego kierunku wystrzelono ognistą lunę. Setki wylatujących z lufy dubeltówki śrutów rozerwało mu klatkę piersiową na strzępy.

Thungi bezradnie obserwował tę sytuację z pobliskiego pagórka i pomimo paraliżującego strachu, postanowił pomścić śmierć brata. Wprowadził się w stan, w którym nie czuł lęku i było mu wszystko jedno. Jego poczynania zdominowała mieszanka odwagi, brawury i zimnej krwi.

Przykucnął za głazem i obserwował skradającego się w jego kierunku komandosa.

Matias dysponował bardziej zaawansowanym sprzętem i bronią palną. Nie docenił jednak nieustępliwości i naturalnych zdolności wychowanego w surowych warunkach młodzieńca. Położył się między dwoma głazami, odbezpieczył pistolet i ostrożnie wychylił głowę, obserwując otoczenie przez noktowizyjne okulary.

Thungi skradał się w jego kierunku, pod wiatr. Dokładnie wiedział, gdzie ukrył się Matias, gdyż zgubiła go zbytnia dbałość o... wygląd. Aby korzystnie zaprezentować się na dzisiejszej imprezie, użył kosmetyku o intensywnym zapachu. Wyostrzone zmysły wojownika wyczuły tę woń.

Najlepszą obroną jest atak. Matias ponownie wychylił się zza skały i ku swojemu zdumieniu zobaczył przed sobą – w odległości dosłownie dwóch metrów – stojącego w rozkroku Thungiego.

Skierował w jego stronę pistolet, ale nie zdążył nacisnąć spustu, gdyż w jego policzku utkwiała śmiertelna lotka.

Komandos odpłynął w nicość, zabierając ze sobą marzenia o stu tysiącach dolarów. Thungi pochylił się nad nim i szybkim ruchem podciął mu gardło. Musiał się spieszyć, gdyż słyszał nawoływania, wystrzały i szczekanie psów.

Rozpoczął się nowy rozdział w jego życiu.

Był ostatnim wojownikiem plemienia Jivaro.

Heurfana i Thungi znaleźli się w podobnej sytuacji. Oboje w tym samym czasie pozostali osamotnieni i mogli liczyć wyłącznie na siebie.

Wojownika nie przerażała taka sytuacja. Już nieraz był w tarapatach i potrafił sobie z nimi radzić. Natomiast Heurfana była zagubiona i nie miała pomysłu na przyszłość. Nie wiedziała nawet, w którą udać się stronę.

Żadne z nich nie miało pojęcia, że za kilka lat ich życiowe drogi się przetną. Tyle tylko, że on odniesie wrażenie, że spotkał boginię, a ona – potwora.